

Księga druga
1491-1495

Marta i Anna

Kraków oszołomił Mikołaja. Obu chłopcom pilno było udać się na zwiedzanie miasta, ale musieli przecież pierwsze kroki uczynić tam, gdzie mogli liczyć na opiekę i pomoc. Ponieważ w Toruniu okazało się, że nie wiadomo dokładnie, ani gdzie mieszkają bracia Gertnera, ani gdzie ma swój dom Maciej Szyling, więc udali się na ulicę Kanoniczą — pod jedyny ściśle określony adres — do kanonika włocławskiego i gnieźnieńskiego, Piotra Wapowskiego. Było to niedaleko od miejsca nad Wisłą, do którego przybijały statki, a przechodziło się akurat pod samym Wawelem.

Właściciel statku przybił do Krakowa przed południem. Z pewnością dzięki temu udało się im zastać kanonika w domu. Był to mężczyzna w sile wieku, drobny i niepozorny. Gdy dowiedział się, kim są stojący przed nim w progu chłopcy, porwał ich obu i za rękawy wciągnął do sieni, a potem wyściskał mocno; ale że wyżsi byli od niego, to aż nachylać się ku jego uściskom musieli.

— Niech Bóg błogosławi zacnego Łukasza — wołał następnie ciągnąc ich do komnaty. — Mam ja ci zawsze scholarów w domu i teraz ciasno już u mnie, lecz choć to z trudem przyjdzie, dla was miejsce jeszcze znajduję.

Andrzej zaczął zaraz tłumaczyć, że nie u kanonika mają mieszkać, choć miał widoczną chętkę pozostania w tym domu, w którym między innymi scholarami byłby swobodniejszy niż u rodziny. Mikołaj wyczuł to, więc zaraz wtrącił się do rozmowy; stanęło na tym, że Andrzej pozostanie u Wapowskiego, a Mikołaj zamieszka u Szylinga, jeżeli ten go do siebie przyjmie.

Złożyło się w dodatku tak szczęśliwie, że Wapowski wiedział, gdzie mieszka wuj Maciej.

— Któż by go nie znał — mówił. — Toć to jeden z najbardziej znanych ludzi, mincmajster królewski, artysta dużej miary. Nawet go daleko szukać nie potrzeba, bo mieszka przy ulicy Grodzkiej.

Zanim sprowadzili swoje toboły znad Wisły, umyli się, obiad suty zjedli z kanonikiem, jego dom zwiedzili i zapoznali się z dwoma mieszkającymi tu już scholarami, słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Dopiero wtedy jeden z nowo poznanych młodzieńców zaprowadził Mikołaja na ulicę Grodzką, do kamienicy, w której mieszkał Szyling.

Trafili widać w najmniej stosownym czasie. Pierwsza napotkana w sieni dziewczka, z pełną stągwią ukropu, omal nie poparzyła intruza, a uratowawszy równowagę krzyknęła: — Czegoż to panicz w takiej chwili?!

Daremnie ją Mikołaj wołał, gdy rzuciwszy te słowa, pobiegła ze stągwią przed siebie. Dopiero druga napotkana dziewczka okazała się zdatna do jakiejś takiej rozmowy i zaprowadziła go do izby, w której siedział wuj Maciej. Z początku gadać nawet z nikim nie chciał, gdy zdenerwowany dowiedział się, że ktoś do niego, ale na słowa „Mikołaj Kopernik z Torunia” zawołał z radością, wybiegając gościowi na spotkanie:

— To ty jesteś ten mały Mikołaj?! Jakżeś wyrósł! Ileż masz lat?

— Dziewiętnasty mi idzie — odpowiedział Mikołaj nieśmiało i do witania gospodarza przystąpił.

— Jak ten czas leci! Niedługo i mój potomek podrośnie, taki jak ty. Masz pojęcie, na jaki dzień trafiłeś? W kominie datę dzisiejszą trzeba zapisać. Niestety, nie zaznamy tego dnia spokoju w tym domu.

— Dlaczego?

— Niewiasta moja zległa i właśnie w tej chwili rodzić ma. Ale

wiesz co? Jeżeli tak trafiłeś, to tobie oddamy wybór imienia dla noworodka. Nie wiadomo jeszcze, kiedy poród nastąpi, może dopiero w nocy, bo ciężki się zanosi, jak to u pierwiastek bywa. Zastanów się więc do jutra: jakie imię damy, gdy chłopiec będzie, a jakie — gdy dziewczę. Dobrze?

Mikołaj chętnie przystał zastrzegając się, że przecież to i od zgody matki powinno zależeć, i chciał co prędzej uchodzić z domu, lecz go Szyling jeszcze zatrzymał i od razu zaproponował stałe mieszkanie u siebie, ale dopiero za kilka lub kilkanaście dni, gdy położnica wstanie.

Jak to zwykle po długich latach niewidzenia, rozmowa zesłała na wspominki o rodzinie; Mikołaj miał więc dużo do opowiadania. Powtarzał tu mniej więcej to samo co u Wapowskiego. Szyling słuchał uważnie, godnie, z szacunkiem dla każdego słowa informatora. Nie każdy tak słuchać umie.

Izba, w której siedzieli, nie wyglądała w pełni na pracownię. Mikołaj z ciekawością oglądał projekty, rysowane albo gotowe medale i monety sporządzone nie tylko przez Szylinga lecz i przez innych mistrzów z różnych krajów. Duży pochyły pulpit służył na pewno do rysowania, stały zresztą na nim sposobne do tego przyrządy i farbki. Jeden ze stołów pełen był imadełek, pilniczków i innych narzędzi do metalu.

Najciekawsze były dwie gabloty, z których jedna zawierała moc monet polskich, a druga — obcych. Jakież to bogactwo — pomyślał Mikołaj, ale zaraz zreflektował się, że zbiory służą celom jedynie artystycznym i powiedział tylko:

— Są tu chyba u wuja wszystkie monety wszech czasów i wszech krajów świata?

— Nie, przyjacielu — zaprzeczył wuj Maciej. — Jeżeli chodzi o zbiór polski, to mam być może komplet. Ale ze świata niewiele tego. Ot, zaledwie parę starożytnych i trochę więcej z nowszych czasów.

Nadzwyczaj miło siedziało się w komnacie artysty. Mikoła-

jowi przyszło na myśl, czy i on sam nie powinien spróbować malowania, a może i rzeźbienia. Gdy we Włocławku cadran solis sporządzali, Abstemius powiedział pewnego razu: — Lekka masz rękę do pędzla, synu.

— Chciałbym być takim artystą jak wy, wuju Macieju.

Maciej przyjaźnie nań spojrział.

— Pomieszkaś u mnie, to poprobujesz. Co prawda u was raczej kupiectwo w rodzie, ale ty chyba będziesz inny. Jako i Łukasz. W moim rodzie rękodzieło jest tradycją i przechodzi z ojca na syna. Może ten, co się narodzić dziś ma, też rzemiosło artystyczne po ojcu obejmie, jeżeli to syn będzie...

Te słowa przywróciły Mikołaja ze świata marzeń do rzeczywistości. A rzeczywistość dawała znać o sobie rwetesem, bieganiem, tupotaniem. Poza tym słońce właśnie zachodziło i trzeba było przed mrokiem udać się do kurii kanonika Wapowskiego.

Szyling wyprowadził młodzieńca na ulicę i przypomniał, którą drogą powrotna. Była nieskomplikowana i krótka. Mikołaj oglądał kamienice Grodzkiej ulicy — bogatsze niż w Toruniu, inaczej też, jakby lżejszą ręką zdobione. Młodzieży na ulicy było wiele, szczególnie zaś chłopców, wśród których najczęściej można było rozpoznać scholarów. I gdy skręcał w boczną uliczkę, na której jakiś młodzieniec dziewczkę sobie przygadywał, przypominała mu się nagle Anna.

I zaraz w następnej chwili zobaczył ją oczyma wyobraźni. Owego wieczora w szparze niedomkniętych drzwi izdebki Anny dojrzał Mikołaj światółko. To go zadziwiło, służba nie otrzymywała przecież łojówek do osobistego użytku. Podszedł na palcach do szpary i cichcem przytknął do niej oko. Wpierw zobaczył palącą się łojówkę, potem wyrko i prostą skrzynkę, zbitą ze zwykłych desek. A dopiero na końcu Annę, siedzącą w kucki na podłodze. Zaglądała do strzępków jakiegoś rękopisu i rysikiem gryzmołała na woskowej tabliczce.

To było niesłychane. Dziewczętom nie uchodziło uczyć się

czytania i pisania, często nawet wielkie panie nie znały tej sztuki, a co dopiero mówić o zwykłej dziewczce służebnej. Nie mógł uwierzyć w to, że sługa pisze naprawdę, mogła przecież tylko udawać, bawić się w pisanie, gryzmolić byle jakie znaki, albo może po prostu coś rysować?

Mikołaj gwałtownie rozchylił skrzydło drzwi i pędem dopadł dziewczki. Nie zdążyła schować przed nim tabliczki.

Anna przeraziła się. Zerwała się na równe nogi, rzuciła pod wyrko wszystko, co miała w rękach, podbiegła do drzwi i zamknęła je na zasuwę. Dopiero wtedy błagała wlepiając weń pełne strachu oczy: — Paniczu, nie mówcie nikomu! Że też przed samym odjazdem.. Wypędzą mnie, może i pod sąd oddadzą, wtedy spalą jako czarownicę, żywcem... Paniczu, przysięgnijcie, że nie powiecie!

Zbyt ją lubił, by na nią poskarżyć. Wyszeptał więc: —Bądź spokojna, Anno, ja nie powiem nikomu.

Wtedy porwała go w ramiona i tuliła z całej siły. — Puść — powiedział, a gdy zwolniła uścisk, poprosił: — Powiedz, kto cię uczył.

— Nie mogę. Grzech popełniłam. I to podwójny, bo za siebie i jeszcze za kogoś drugiego.

— Jakże to? — zapytał.

I zasmucił się. Odsuwał ją od siebie zawiedziony. Nie ufała mu najwidoczniej.

— Powiem ci. Ja zawsze chciałam się uczyć, już od małości. Ale nikt na to przystać nie chciał. Aż raz tak się stało, że poznałam się z jednym żakiem w Elblągu, bo ja z Elbląga tu przyszłam. I on mnie uczyć zaczął, ale wydało się i musiałam uciekać z Elbląga. I przyjechałam do Torunia. Ale już mogę dalej uczyć się sama. I jak mnie panicz nie wyda, to zobaczy, będę uczyła się dalej, bo pisać i czytać już umiem, a za rok albo dwa pojedę do Krakowa, przebiorę się za chłopaka i na akademii się zapiszę.

Wspominając te jej słowa stał teraz Mikołaj Kopernik na krakowskiej ulicy, zupełnie zapomniawszy o całym świecie. Zaczął nerwowo wpatrywać się w rysy twarzy mijających go scholarów. A nuż Anna jest już w stolicy? Gdy ostatnim razem bawił w Toruniu, powiedziano mu, że dziewczyna w swej izdebce na poddaszu dziecko powiła, a gdy tylko po połogu doszła do sił, to przepadła razem z niemowlęciem. Wiadomości te zaboląły Mikołaja. Miał już dosyć złe o białogłowach mniemanie. Lecz teraz bardzo by chciał ujrzeć Annę. Nawet taką przebraną za scholara, a może właśnie tylko taką — mądrą, uczoną, o serdecznie patrzących oczach.

Nagle napadła go myśl absurdałna, ale natrętna: dać imię Anny małej Szylingównie, jeżeli dziecko będzie płci żeńskiej. A jeżeli męskiej — Mikołaj. Z tym postanowieniem stanął przed domem Wapowskiego.

Następnego dnia zajął się sprawami swych studiów. W krótkim czasie opłacili z Andrzejem wpisowe do akademii, uzyskali z pomocą Wapowskiego zezwolenie na zamieszkanie w domach prywatnych, zaczęli uczęszczać na wykłady. Krakowska Alma Mater słynęła na cały świat, więc zjeżdżała do niej młodzież różnych nacji, jednak wśród obcokrajowców przeważali Niemcy i Węgrzy. Byli to młodzieńcy różnego stanu, poczynając od synów magnatów i bogatych mieszczan, a kończąc na chłopskich dzieciach, zebraniem utrzymujących się przy życiu.

Studia początkowe dla kogoś, kto skończył dobrą szkołę we Włocławku, były właściwie fraszką. Cóż znaczyła dla Mikołaja na przykład druga część wierszowanego podręcznika gramatyki łacińskiej Aleksandra de Villa Dei! Podobnie z poetyką i retoryką łatwo dawał sobie radę, a czytane tu łatwiejsze księgi Arystotelesa znał już dobrze. Toteż szybko zaczął chodzić na nieobowiązuje go wykłady matematyki, do której zamiłowanie wyniósł z rozmów z Mikołajem Wodką i z czynionych wspólnie z nim obserwacji astronomicznych. Chodził więc do lektorium

teologów, gdzie Wojciech z Pniew czytywał „Sferę Świata” Jana de Sacrobosco — elementarny zarys geografii matematycznej i astronomii sferycznej. Na wykładach tych wysłuchiwał uważnie argumentów za nieruchomością Ziemi w środku wszechświata. Uczęszczał też na wykłady arytmetyki i perspektywy wchodzące w zakres wyższego stopnia studiów. Z geometrii i nauki o perspektywie wychwytywał skwapliwie to wszystko, co mogłoby mu pomóc w próbach malarskich. Postanowił bowiem uczyć się rysunku i malowania pod kierunkiem Macieja Szylinga.

Nade wszystko jednak zwiedził Kraków i sąsiedni Kazimierz, Maciej służył mu za przewodnika. Najbardziej nęciło go wawelskie wzgórze z basztami królewskiego zamku i wieżami gotyckiej katedry. Ale z równym zainteresowaniem oglądał kamienice patrycjuszki i różne gmachy publiczne, wśród których ratusz, Sukiennice i kościoły najwięcej zawierały skarbów sztuki. Nie było jednak drugiego obiektu, do którego wracaliby z Szylingiem tak często, jak do kościoła Mariackiego, a przede wszystkim do jego głównego ołtarza, niedawno wyrzeźbionego przez wielkiego artystę Wita Stwosza.

Mówił wuj Maciej: — Przyznam ci się, trudno przychodzi artyście stwierdzać, że drugi jest od niego większy. Ale od porównania ze Stwoszem nie uchylam się. Mówię po prostu: uczyłem się od niego patrzenia na rzeczywistość i przekształcania rzeczywistości w dzieło sztuki. Chadzałem wpierw do jego pracowni, gdzie z licznymi swymi pomocnikami rzeźbił i malował poszczególne elementy dzieła. Chadzałem potem do kościoła, gdy elementy składano w całość. Ten wielki człowiek dokonał cudu: zrobił ołtarz, pokazał życie i śmierć Chrystusa i Panny Marii, a zarazem przedstawił nasze krakowskie życie codzienne i ludzi chodzących po ulicach miasta.

I pokazywał Mikołajowi szczegóły, zwracając uwagę na religijne, obyczajowe i artystyczne wartości dzieła. Ogromna dre-

wniana szafa z dwoma otwierającymi się skrzydłami mieniła się nieokiełznanym wprost bogactwem kształtów i barw.

— Wiesz, ile postaci zawiera ten ołtarz? — mówił z zachwytem wuj Maciej. — Dwa tysiące. Dwa tysiące postaci, a do tego sceny krajobrazowe, wnętrza domów, ornamentyka. Trzeba być naprawdę wielkim człowiekiem, żeby to stworzyć.

Odchodzili od ołtarza, by oglądać inne ciekawe rzeczy w Krakowie, lecz przechodząc następnego dnia przez rynek, znowu skręcali do kościoła Mariackiego i stawali w zachwycie przed dziełem Wita Stwosza, by kontemplować coraz to inne szczegóły.

Po jednym z takich spacerów Szyling oświadczył: — Marta czeka dziś na ciebie z poczęstunkiem.

Nie widział jeszcze żony Macieja, bo wprawdzie leżała ponad tydzień, a potem jeszcze dość długo nie wychodziła do gości. Toteż szedł na ulicę Grodzką ze ściśniętym sercem oczekując widoku osoby, którą wyobrażał sobie jako bardzo piękną, bo taka być musiała, jego zdaniem, żona artysty.

Weszli do tej samej komnaty, w której Mikołaj już bywał. Maciej zostawił go następnie samego, by po chwili wrócić z młodziutką, najwyżej siedemnastoletnią niewiastą. Było rzeczywiście coś nadziemskiego w jej urodzie. Mikołaj skojarzył sobie natychmiast jej kibić, głowę i twarz z którąś z postaci z ołtarza Wita Stwosza — nie mógł sobie tylko dokładnie przypomnieć, z którą. Po serdecznym powitaniu, jakie mu zgotowała młoda gospodyni, powiedział o tym natychmiast. Wtedy gospodarz spojrział na małżonkę, uśmiechnął się i z zadowoleniem oznajmił:

— Jesteś spostrzegawczy, Mikołaju. Mistrz Stwosz, jak ci już mówiłem, wybiera sobie modele spośród mieszczan i mieszczek krakowskich. Gdy razem z Martą chodziliśmy przypatrywać się jego pracy, Marta pewnego dnia wpadła mu w oko. Pozowała mu potem.

Gdy siedli do stołu, a pani Maciejowa przynosiła talerze z ciastkami i owocami, dzban wina i kubki do picia, Mikołaj dostrzegł w niej jeszcze jedno podobieństwo: do Anny. Twarz służebnej była jednak bardziej wulgarna, Marty zaś — bardziej wzniosła i szlachetna. Te porównania tak bardzo oddaliły go od rzeczywistości, że zupełnym zaskoczeniem stały się dlań słowa Macieja, trzymającego w ręku kubek napełniony winem: — No to zdrowie małej Anny, Mikołaju!

Serce zabiło mu żywo. Podniósł swój kubek, gapiąc się bez przerwy na Maciejową i zapytał zdziwiony:

— Więc pani... więc wujenka... zgodziła się na wymyślone przeze mnie imię?

Przenosił wzrok to na nią, to na niego. Widział ich życzliwe uśmiechy.

— Oczywiście, to bardzo ładne imię — oświadczyła ona, a Maciej zaraz zaczął mówić, jak gdyby długo czekał na możliwość wypowiedzenia tych słów:

— Mikołaju, Marta jest o dobry rok młodsza od ciebie. Ja jestem, co prawda, w porównaniu z wami stary, ale artyści są w gruncie rzeczy wiecznie młodzi. Dodajmy do tego, że jestem dla ciebie wujem bardzo przyszywanym, a Marta nadaje się dla ciebie raczej na siostrę niż na ciotkę. Raziłoby to nas, gdybyś ją tak nazywał. Proponuję, byśmy wszyscy troje żyli z sobą w braterstwie i zrezygnowali z wszelkich tytułów.

Maciej jeszcze raz podniósł kubek.

— A więc za nasze braterstwo! — zawołał i wypili znowu.

Mikołaj czynił to z wielką nieśmiałością. Był im ogromnie wdzięczny za przyjaźń i zaufanie, jakie mu okazywali.

Rozmowa toczyła się lekko, pogodnie. Okazało się, że Marta w przeciwieństwie do niewiast, które Mikołaj dotychczas w swym życiu poznał, i w przeciwieństwie do zasad, w jakich wychowywano dziewczęta — była obytą we świecie, o dużej wiedzy, umiejącą czytać i znającą księgi. To ostatnie usprawiedliwione

było płynącymi z Italii prądami humanistycznymi. W Mikołaju budziło jednak tym większy szacunek dla młodej Szylingowej i... znów przypominało Annę.

— Gdzie uczyłaś się czytać? — spytał Mikołaj.

— W domu, a nauczycielem był mi ojciec mój, pisarz miejski, który każdą wolną chwilę życia poświęcał zdobywaniu i pomnaniu wiedzy.

— To piękne. Musi to być człowiek wielkiej mądrości.

— Prawda. Chciałabym posiadać jej choćby połowę. A córeczkę swą będą podobnie wychowywała.

— Słuszne to słowa, zacna Marto. Słucham ich chętnie. I chętnie przestaję z ludźmi, głoszącymi postęp. Wierzę we wszystko, co wybiega w przyszłość, co zawiera w sobie tendencje do zmieniania, poprawiania, ulepszania rzeczywistości i to, co prostuje nasze błędy.

— Maciej miał rację, wyrażając się o tobie z podziwem, Mikołaju.

— No to zdrowie! Za naszą przyjaźń! — zawołał Szyling znów podnosząc kubek.

Czas upłynął szybko, na ulicy zaczął zapadać zmrok. Musieli się już rozstać.

— Ale zobaczysz jeszcze naszą córeczkę — zaproponowała Marta.

— Z przyjemnością — przystał.

— A jutro przeprowadzisz się do nas? — zapytał Maciej.

— Izdebka dla ciebie jest już gotowa — dodała Marta.

Przeszli do drugiej izby, gdzie w kolebce leżało dziecko. Miało różową cerę, twarzyczka jego nie była jeszcze ukształtowana, ale rysami swymi przypominała rysy twarzy Marty i... Anny.

— Anna — wyszeptał Mikołaj wzruszony. Głos mu wiązał w gardle.

— Anna — powtórzył Maciej.

Mikołaj nie mógł oderwać oczu od tego widoku. Pomieszało

się wszystko w jego umyśle: mądrość Marty, uwodzicielska kibić Anny z Torunia, ta dziecięca twarzyczka. Powiedział niespodziewanie dla samego siebie: — Postawię jej horoskop.

— Potrafisz już? — spytała Marta w radosnym oczekiwaniu.

— Spróbuję, może potrafię — odpowiedział. — Byłby to pierwszy horoskop w moim życiu.

Przyjęcie u Kallimacha

Była to akurat czterotygodniowa przerwa międzysemestralna i Mikołaj cały czas spędzał razem z Maciejem w jego pracowni. Pomagał mu robić szkice, próbował przenosić je na metal. Równocześnie malował portret Marty, wykorzystując na to czas, gdy Maciej załatwiał sprawy w mieście, a dziecko spało. W takiej właśnie sytuacji zastał go pacholek, który przyniósł wiadomość, że biskup Warmii zatrzymał się w domu kanonika Wapowskiego.

Mikołaj krzyknął: — Wuj Łukasz! — i rzuciwszy pędzel podskoczył ucałować rękę Marty, prosząc o pozwolenie odejścia. Cieszył się z przyjazdu wuja, choć równocześnie bał się trochę starego despoty.

Rok studiów minął bez wielkich uniesień, ale i bez wielkich rozczarowań. Życie w domu Szylingów upływało pogodnie, w tej samej co na początku serdecznej atmosferze. Maciej dużo pracował, Marta zarządzała domem i wychowywała Annę, lecz zawsze starczało im czasu na rozmowy o sztuce i o zmieniających się czasach. Do rozmów tych Mikołaj zdobywał coraz to lepsze przygotowanie na uczelni. Młodzi magistrowie i doktorowie wnosili do niej świeży powiew humanizmu, zwalczanego uparcie przez starych scholastyków. Między wykładami scholarzy czytali sobie nawzajem własne poematy łacińskie, tworzone w nowym duchu. Z szerokiego grona koleżeńkiego wyłaniała się grupa bliższych przyjaciół: Piotr Tomicki, Paweł z Krosna, Jan ze Stobnicy i inni. Niestety, większość z nich marzyła nie tyle o wiedzy samej, co o przyszłej karierze. Najlepsze-go przyjaciela znalazł Mikołaj zupełnie niespodziewanie w mło-

dym docencie, Warzyńcu Korwinie, który co prawda pracował akurat nad dziełem geograficznym, lecz komentował także „De ente et essentia” Arystotelesa, a przy tym uczył poetyki i co najważniejsze — sam układał wiersze.

Został więc Mikołaj opanowany przez dwie pasje: malarstwo i poezję. Każdą wolną chwilę w ciągu dnia spędzał ze szkicownikami. Natomiast wolne chwile wieczorne poświęcał zapisywaniu swych myśli i marzeń w kunsztowną formę pieśni i ód. Próbami malarskimi niepokoił bez końca Macieja, poetyckimi — Wawrzyńca.

Z Andrzejem spotykał się rzadko. Brat miał inne grono przyjaciół, spędzających czas przeważnie na picciu, awanturach i szukaniu przygód z białogłowami. Nie przeszkadzało to jednak Mikołajowi w odwiedzaniu kanonika Wapowskiego, który w swej prostoduszności nie domyślał się niczego o trybie życia swego podopiecznego i darzył obu Koperników taką samą ojcowską życzliwością.

Spokojnego bytu nie zakłócały mieszkańcom Krakowa, a więc również Mikołajowi, nawet ważniejsze wydarzenia polityczne, którymi upamiętnił się rok 1492. Upadła Granada, ostatni przyczółek mahometański w Europie zachodniej. Hiszpania wypędziła Żydów. Kolumb odkrył nowe lądy. Na Litwie zmarł król Kazimierz Jagiellończyk, którego zwłoki sprowadzono do stolicy i pochowano na Wawelu. Dopiero teraz, po elekcji w Piotrkowie, na której wybrano Jana Olbrachta, Mikołaj odczuł na własnej skórze bieg zdarzeń. Bo zapewne prosto z Piotrkowa zjechał do Krakowa na koronację nowego króla wuj Łukasz Waczenrode, biskup warmiński i senator Rzeczypospolitej, który w tej chwili go wzywał. Młody Kopernik nie wątpił, że odwiedziny te wywrą poważny wpływ na jego dalszy pobyt w Krakowie. Wuj miał licznych możnych przyjaciół, z którymi mógł teraz skontaktować siostrzeńca.

Z tym przekonaniem szedł Mikołaj na ulicę Kanoniczą.

Andrzej czekał już na niego w sieni, obaj bracia mieli bowiem razem stanąć przed obliczem wuja. Po chwili weszli do reprezentacyjnej komnaty kanonika. Łukasz Waczenrode siedział rozparty w wygodnym, szerokim krześle, w pełnym blasku fioleto-
w, trzymając ręce na poręczach mebla. Gdy po kolei —
wpierw starszy, potem młodszy — pochylali się przed nim, całował łaskawie ich czoła. Stanąwszy potem tuż przy nim patrzyli w jego surowe oblicze.

— Cieszę się, że was widzę w dobrym zdrowiu, a jak słychać od kanonika dobrodzieja, także w dobrym stanie ducha. Przyjmijcie moje pasterskie błogosławieństwo.

To rzekłszy, zaczął czynić znak krzyża w powietrzu, bracia więc pośpiesznie uklękli przed nim. Zanim zdążyli z powrotem powstać, mówił dalej:

— Po drodze z Warmii do Krakowa zawadziłem o Toruń. Siostra moja a wasza matka nie cieszy się, niestety, najlepszym zdrowiem, o które musicie razem ze mną modły do Boga wznosić. Gertnerowa Kasia opiekuje się nią, jak może, lecz może nie za wiele, bo nie ma na to sił ani czasu, gdyż dzieci jej się sypią jedno po drugim. Druga siostra wasza w klasztorze w Chełmnie dobrze się czuje. Od matki błogosławieństwo wam przywożę, od sióstr serdeczne życzenia opieki boskiej. A co tu u was sły-
chać?

Opowiadania trwały długo. Młodzieńcy mówili o przebiegu całego roku studiów, wuj opowiadał im o swym życiu i o swej pracy. Z Krzyżakami trzeba prowadzić nadal ustawiczne spory, ale za to rośnie autorytet biskupa warmińskiego w Prusach Królewskich. Przede wszystkim zaś zupełnie inaczej ułożyły się stosunki z nowym królem.

— Kazimierz Jagiellończyk do ostatka chował urazę do mnie — mówił wuj Łukasz z goryczą, lecz zaraz się jego czoło rozchmurzyło, bo oto miał wiadomość triumfalną: — Ale Jan Olbracht jest dla mnie zupełnie inny, ceni moje zasługi dla Korony;

wie, że terazniejsza polityka warmińska to nie to samo, co za czasów mojego poprzednika Tungena. Teraz mogę pokazywać się w Krakowie z podniesionym czołem, jako równy książętom i purpuratom.

Z całego zachowania się biskupa Warmii i z tonu jego słów wyczuwało się wielką pewność siebie. Widać było, że mocno siedzi w siodle i nie da się zepchnąć z pozycji, którą zajął w Polsce. Widać to było nie tylko tego dnia, lecz przez cały czas jego pobytu w stolicy, który poprzedzał dzień wielkiej uroczystości.

Mikołaj oczywiście tylko jako jeden z tłumu przypatrywał się wielkiemu ruchowi, który towarzyszył przygotowaniom do koronacji Jana Olbrachta w katedrze wawelskiej. Stolica stawała się z dnia na dzień ludniejsza, tyle przybywało ludzi z całego kraju. A biskup Warmii błyszczał wśród nich. Bliższym tych spraw był Maciej, który przygotowywał na gwałt pamiątkowy medal koronacyjny. Od niego łatwo było dowiedzieć się, że Łukasz Waczenrode bywa w domach patrycjusza miejskich, przyjmowany wszędzie z rewerencją. Nie miał oczywiście czasu dla siostrzeńców, choć ci domyślali się, że pamięta o nich i toruje im drogi w Krakowie, i że w nadchodzącym semestrze będą przyjmowani wszędzie z większą niż dotychczas atencją.

Już w dniu koronacji odczuli tę nową sytuację, gdy im wuj kazał iść do katedry razem ze swoją świętą. Szli za nim odświetnieni odziani, między skrzydłami rozstępującego się tłumu. Kościół cały błyszczał światłem, klejnotami i złotem.

Ceremoniał trwał długo, pomimo całej swej okazałości wydawał się Mikołajowi nudny i były w nim tylko krótkie chwile podniosłości. Oto w decydującym momencie król klęknął przed prymasem, pośród przepychu i dymu kadzideł, i zaczął mówić: — Przysięgam, ślubuję i przyrzekam na tę świętą bożą ewangelię, że królestwem danym mi od Boga będę rządził według sprawiedliwości ojców.

Później prymas namaścił nowego monarchę olejami świętymi.

Wreszcie włożył nań płaszcz królewski i wręczył mu miecz koronacyjny. Na koniec zaś osadził koronę na jego głowie, podał berło i udzielił błogosławieństwa.

I tak oto Polska otrzymała nowego władcę. Zasiadł on przy dźwięku fanfar na tronie, a kościół rozbrzmiał hymnem „Te Deum laudamus”. Od potężnego brzmienia organów i ryku ludzkiego przechodziły ciarki przez plecy Mikołaja. Patrzył potem z uczuciem czci na to, jak Jan Olbracht dosiadł kapiącego złotem rumaka i na czele swego orszaku ruszył przed się, by pokazać się swym poddanym.

W kilka dni po koronacji wuj Łukasz zaczął składać wizyty swym przyjaciółom. I otóż pewnego razu oznajmił siostrzeńcom:

— Dziś idę na przyjęcie do Kallimacha, a będzie tam doborowe grono krakowskich uczonych i humanistów. Pójdziecie ze mną.

Kallimach był jedną z najciekawszych postaci Polski owych czasów. Zbiegły z Italii humanista, posadzany swego czasu o uczestnictwo w spisku na życie papieża, miał postanowieniem trybunału piotrkowskiego zostać wydany swym prześladowcom. Uchował się jednak dzięki pomocy Grzegorza z Sanoka, kużytkowi swej przybranej ojczyzny. Bo oto zaczął robić zawrotną karierę i doszedł do tego, że pełnił zaszczytne misje z polecenia króla polskiego. Stał się teraz zaufanym Jana Olbrachta, którego poprzednio był wychowawcą.

Zaproszenie na przyjęcie stanowiło nie lada zaszczyt i wróżyło kontakt z najwybitniejszymi ludźmi epoki. Mikołaj już raz widział Kallimacha we Włocławku i był mu nawet przez Abstemiusa przedstawiony, jednak na chwilę tylko, nie zdążył zamienić nawet słowa. Teraz poznawał go lepiej — tęgiego mężczyznę, z oczami błyszczącymi inteligencją. I on przypomniał sobie siostrzeńca Waczenrodego, a w każdym razie postępował tak, jak gdyby go sobie przypomniał.

— Wiem, wiem — mówił, gdy powitawszy wszystkich po ko-

lei, zatrzymał się przy Mikołaju. — Doktor Mikołaj Wodka z Kwidzyna i biskup Piotr z Bnina mówili o tobie jako o najlepszym uczniu swojej szkoły. Pamiętam, że podobnie jak Abstemius, rozmiłowałeś się w gwiaździarstwie. Czy nadal poświęcasz tyle uwagi tej interesującej sztuce?

— Nie mam ku temu dobrej okazji — tłumaczył się Mikołaj. — Ale uczę się pilnie matematyki, to mi się przyda do obliczeń astronomicznych.

— Świetnie. A okazja oto już idzie, usłyszawszy nasze słowa. Wojciech z Brudzewa co prawda teraz wykląda teologię, lecz dla bliskich swemu sercu znajduje zawsze czas na rozmowy nie tylko o niebieskich duchach, lecz i o ciałach niebieskich.

Brodaty starzec stał już przy nich. Jego wielkie niebieskie oczy jakby płonęły nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Uczony przywitawszy się serdecznie z wujem Łukaszem zwrócił się do młodzieńców:

— Miło mi poznać scholarów tak zacnego pochodzenia. Z ekscelencją biskupem Łukaszem lubimy się i szanujemy od dawna. To ten młodszy jego siostrzeniec ma astronomiczne zapędy? Dobrze, znajdziemy dziś jeszcze sposobność do pomówienia o tych sprawach.

— Odszedł w następnej chwili, by razem z Kallimachem powitać nowego gościa.

Komnata prezentowała się wspaniale. Stały w niej bogato zdobione i rzeźbione meble, na ścianach wisały obrazy i arrasy, przedstawiające życie przyrody i zwykłych ludzi. Gości było niewielu, ale jacy za to goście! Młodzieńców przedstawiono Witowi Stwoszowi, Celtesowi i Ursinusowi; Wawrzyńca Korwina znali już wcześniej, o kilku innych gościach nigdy jeszcze nie słyszeli. W komnacie panował gwar, mężowie przechadzali się i rozmawiali z ożywieniem. Na hasło gospodarza siedli do stołu zastawionego owocami, zimnymi mięsami i dzbanami wina. Kopernikowie zajęli skromnie miejsce na końcu stołu.

Służba podawała teraz ciepłe potrawy, lecz dialogi trwały dalej, tylko powoli przekształcały się w ogólną rozmowę, w której uczestniczyli wszyscy. W pewnej chwili nastąpiła przerwa w jedzeniu i na dłuższy czas głos zabrał Celtes. Chociaż Filip Kallimach tego nie zapowiedział, wydawało się, że uczta została urządzona na cześć tego sławnego poety w związku z jego wyjazdem z Krakowa. Oto Celtes opowiadał o swoich planach. Najbliższym etapem jego życia miała być podróż do Ingelstadtu, gdzie poeta obejmował profesurę poezji. Nastąpiły dość długo przeciągające się recytacje jego wierszy, które Mikołaja zachwycaly. Jeden z nich opiewał Prusy Królewskie. Kopernik czytał i słyszał wiele podobnych, lecz te wydawały mu się piękniejsze od innych. Z wielką więc radością włączył się do wybuchu oklasków.

Jak gdyby na to hasło podano zupełną i rozmowa przy stole urwała się nieco, aż przy głosie pozostał na dłuższy czas Wit Stwosz. Jego wypowiedź budziła jeszcze większe zainteresowanie Mikołaja, tym bardziej że pochodziła z ust postaci bardziej mu znanej. Kallimach mianowicie postanowił ufundować pomnik biskupa włocławskiego, Piotra z Bnina. Po śmierci znakomitego męża pomnik ten byłby zarazem jego nagrobkiem. Wit Stwosz bardzo plastycznie opisywał, jak sobie wyobraża to dzieło, do którego zaczął już robić szkice. Każde dłuższe przemówienie kończono toastem. Mikołaj czuł już te toasty w głowie, choć żadnego kubka nie wychylał do dna. Z podziwem natomiast obserwował Andrzeja, który pił o wiele więcej, a mimo to był zupełnie trzeźwy. Gdy uczta miała się ku końcowi, rozmowa zaś zaczęła toczyć się w grupach, przysiadł do Mikołaja Wawrzyniec Korwin i mówił gorączkowo: — Popatrz, Wojciech z Brudzewa wstał od stołu, ogląda tamten obraz. Kujmy żelazo, póki gorące. Wstawaj, idziemy do niego.

Podeszli do mistrza i odczekali chwilę, aż ten oderwie wzrok od obrazu, przedstawiającego tańczące muzy. Wtedy Korwin zwrócił się doń:

— Ten młodzieniec, mistrzu, obserwował koniunkcję Saturna i Marsa.

Wojciech spojrział na Kopernika z zainteresowaniem.

— Przecież to było przed paru laty. Nie za młody był on wtedy na to?

Mikołaj prędko podał dokładną datę koniunkcji i jej przebieg. Wyjaśnił, że obserwacji dokonano we Włocławku, a on sam asystosował tylko przy niej Mikołajowi z Kwidzyna Wodce, zwanemu Abstemiusem.

— Wodka! — zawołał Brudzewski. — Dobry znajomy, mój starszy kolega i prawie przewodnik. Siedzi tam jeszcze we Włocławku razem z Piotrem z Bnina, o którym tu dzisiaj mowa była?

— Tak — potwierdził Mikołaj. — Pan doktor mieszka nadal we Włocławku, czyni tam gwiazdziarskie obserwacje na biskupim zamku.

Uczony rzucił pytanie na temat znaczenia wspomnianej koniunkcji i otrzymał wyczerpującą odpowiedź. Wtedy zaczęli deliberować nad przydatnością różnych instrumentów służących do obserwacji nieba. Gdy Mikołaj przypadkiem wspomniał o instrumentach, sporządzonych przez słynnego Peurbacha, Brudzewski zapytał:

— A o tym skąd wiesz, młodzieńcze?

— Czytałem — stwierdził Mikołaj po prostu, budząc tym podziw uczonego.

Korwin rzeczywiście kuł żelazo póki gorące. Widząc zadowolenie Wojciecha, powiedział: — Oto, mistrzu, młodzieniec godny tego, by stać się uczniem waszmości.

— Z przyjemnością przyjmę cię u siebie, młodzieńcze. Jak ci na imię?

— Mikołaj.

— Z przyjemnością cię więc przyjmę, imienniku Abstemiusa. Przyjdź do mnie jeszcze przed rozpoczęciem semestru. O, choćby

w najbliższy piątek po południu. Będzie u mnie tego dnia kilku młodych ludzi.

To rzekłszy Brudzewski oddalił się i wszczął z Kallimachem rozmowę o jednym z wiszących na ścianie obrazów.

Mikołaj był szczęśliwy. Został włączony do grona uczniów największego w Sarmacji znawcy nieba. Już teraz czekał tylko końca wizyty, by móc jak najprędzej podzielić się swą radością z Maciejem i Martą. Już mógł stąd iść, już spełniło się jego skryte marzenie. Co prawda kusiło go jeszcze, by porozmawiać z Witem Stwoszem i wspomnieć mu o Szylingu, ale nie starczyło mu na to odwagi, bo przy mistrzu stale ktoś był.

Gdy w pewnej chwili znalazł się w pobliżu wuja Łukasza, usłyszał:

— Ponoć przypadłeś do gustu Brudzewskiemu, cieszy mnie to bardzo. Widzę, że posuwasz się w naukach.

Opuszczał dom Kallimacha z poczuciem wielkiego szczęścia. Razem z Andrzejem asystował wujowi w drodze do domu kanonika Wapowskiego, dokąd jechali powozem zaprzężonym w cztery konie. Pożegnawszy się, prawie biegiem ruszył na ulicę Grodzką i jak furiat wpadł po schodach na piętro. Wpadłszy do wnętrza zawołał:

— Siedziałem przy stole z samym Witem Stwoszem!

Szyling patrzył nań z uznaniem, na jego twarzy widniał przyjazny uśmiech.

— I o czym to z nim rozmawiałeś?

Mikołaj bezradnie rozłożył ręce.

— Nie rozmawiałem z nim, niestety, nie miałem odwagi, ale słyszałem, co mówił, rozmawiając z innymi wielkimi ludźmi.

— To już bardzo wiele — przyznał Maciej. — Domyślałem się jednak, że rozmawiałeś z kimś innym, równie ważnym.

— Naturalnie! — zawołał młodzieniec. — I to nie tylko rozmawiałem! Wyobraźcie sobie: sam Wojciech z Brudzewa zaprosił mnie do swego domu!

— To wielki sukces — przyznał Maciej.

— Bardzo się z tego cieszę — dodała Marta.

Mikołaj spojrział wpierv na niego, potem na nią. Wiedział, że ich słowa są najzupełniej szczerze, że może nieomylnie liczyć na ich życzliwość.

Nędza astronomii

Trzeciego dnia po uczcie u Kallimacha wuj Łukasz opuścił Kraków.

Poprzedniego popołudnia wezwał jeszcze Koperników na rozmowę. Siedzieli przed biskupem trochę tak jak na nudnym kazaniu, jako że nie szczędził im cierpkich uwag, kierowanych przede wszystkim pod adresem czyniącego miny Andrzeja, o którego sprawkach pijackich i miłosnych zdołał się jakoś wywiedzieć i był w nich zorientowany lepiej niż mieszkający z Andrzejem pod jednym dachem kanonik Wapowski.

Po nabożnych upomnieniach przysła pora na sprawy bardziej praktyczne, przy omawianiu których Andrzejowi chytrze błyskały małe, głęboko schowane oczka. Wpierw dowiedzieli się o dalekosiężnych planach wuja:

— Mam teraz wpływy i znaczenie. Będę w swej polityce po staremu trzymał się Korony, pozostanę wiernym sługą najjaśniejszego pana. Zamierzam zorganizować warmińską kapitułę tak, by sprzyjała moim planom, mojej polityce. Z drugiej strony — trzeba wam zapewnić raz na zawsze jakiś stały dochód. Postanowiłem więc uczynić was kanonikami. Mniemam, że w ten sposób osiągnę i polityczne cele i wywiążę się ze swych zobowiązań w stosunku do was, a raczej waszego świętej pamięci ojca. Tytuł kanonika warmińskiego przynosi niezłe dochody, przy których i świetnie żyć można i nawet za granicą studiować. Muszę tylko czekać na odpowiedni moment, bo na miejsce uwolnione przez kanonika zmarłego w miesiącu parzystym mam prawo proponować następcę ja, lecz na miejsce zmarłego

w miesiącu nieparzystym — papież. Jest tam we Fromborku kilku starców, na których śmierć bynajmniej nie czekam, choć pożytek z nich dla ojczyzny niewielki. Trzeba odczekać, aż który z nich odejdzie szczęśliwie w miesiącu biskupim, wtedy natychmiast podsunę kapitulę jednego z was, a przy następnej okazji drugiego.

Następnie wuj omówił z siostrzeńcami szczegółowo warunki płatności za utrzymanie ich u Wapowskiego i u Szylinga, a także wydatki związane ze studiami, ubiorem i innymi potrzebami.

Następnego dnia widzieli wuja już tylko krótko, gdy w otoczeniu oczekującej go świty wsiadał do karety podróżnej. Mikołaj prosto sprzed domu Kallimacha poszedł z pełną kieszą do księgarni Jana Hallera. Kupiec ten sprowadzał wiele ksiąg tłoczonych przeważnie w drukarniach niemieckich i italskich, lecz księgi te prędko znajdowały nabywców, toteż na składzie nigdy nie było zbyt wiele dzieł do wyboru. Zapewne dlatego Haller zamierzał w najbliższym czasie sam drukować księgi, a chodziły nawet słuchy, że już zamówił potrzebne do tego przyrządy i maszyny, i tylko czeka ich nadejścia tudzież przyjazdu mistrzów sztuki drukarskiej.

Dla Mikołaja znalazło się jednak to i owo na półkach księgarni. Wiedział już o tym poprzednio, bo zachodził czasem do Hallera dla samej satysfakcji obejrzenia na własne oczy dzieł nie spotykanych w uczelni, że prędej rochodzą się humanistyczne rozprawy, pisma filozoficzne i poezje, a z naukowych na przykład medyczne, służące praktycznym potrzebom, natomiast dzieła poświęcone matematyce, geometrii, gwiazdzarstwu i innym dyscyplinom teoretycznym nie mają wielu nabywców. Toteż ucieszył się, gdy znalazł w księgarni dwie księgi upatrzone jeszcze przed kilkunastu dniami, o których skrycie marzył. Patrzył teraz na ich pięknie oprawne grzbiety i to ich dotykał palcem, to brał do ręki kiesę. Wiedział, że decydując się na kupno będzie musiał wyrzec się niektórych przyjemności.

Z nabożnym szacunkiem brał do ręki podawane mu przez właściciela woluminy. Pierwszy z nich można było co prawda czytać w uczelni, ale o wiele pożyteczniejszą rolę pełnił jako podręczne, w każdej chwili dostępne źródło. Były to „Elementy” Euklidesa w łacińskim wydaniu z roku 1482. Drugiego natomiast i w uczelni niełatwo można dostać do ręki. Był to traktat astrologiczny Albohazena Halyego syna Abenragela pt. „Najsławniejsza księga kompletna o wróżbach z gwiazd”, obejmujący zarazem świeżo wydane w Wenecji tablice astronomiczne króla Alfonsa i „Tablice dyrekcyj i profekcyj przesławnego męża Magistra Jana Niemca z Królewca bardzo pożyteczne dla horoskopów”, o których Mikołaj słyszał już jako o tablicach zwanych tablicami Regiomontana.

Lekturę Euklidesa rozłożył Mikołaj na długie dni, tymczasem w pośpiesznym tempie czytał dzieło astronomiczne. Im jednak głębiej w nie wnikał, tym mniej pewny czuł się, tym większe ogarniały go wątpliwości. Notował uwagi na marginesie i postanowił przekazać je Brudzewskiemu.

W piątek po południu wybrał się do Collegium Maius, w którym tenże mieszkał.

Mistrz przewertował podany mu przez Mikołaja tom.

— Kupiłeś tę drogą księgę? Toś, widać, uparł się przy gwiazdździarstwie na dobre?

— Nie wiem, czy słusznie.

— Dlaczego? Jeżeli interesują cię gwiazdy...

— Gwiazdy tak — powiedział z jakąś nową i dziwną dla siebie samego namiętnością. — Gwiazdy mnie pociągają, odczuwam ich promienie tak, jak wyciągane do mnie ręce. Ale przeraża mnie astrologia. A może niebo? Bo albo ono zmienia się i coraz to nowymi kieruje się prawami, albo wiedza o nim jest fałszywa, że co pewien czas trzeba ją poprawiać.

Wojciech z Brudzewa utopił w jego twarzy swe głęboko patrzące mądre spojrzenie.

— Ty dobrze myślisz, młodzieńcze. I słusznie ufasz niebu. Prawa rządzące jego ruchami są wieczne i niezienne... Są błędy w obliczeniach. Stale trzeba je poprawiać. Rzeczywiście, można stracić wiarę w taką naukę. Musi być zatem jeden błąd kardynalny, a musi tkwić głęboko, w samej istocie rzeczy.

— W systemie! — zawołał Mikołaj.

— Straszna rzecz powiedziałeś — westchnął stary astronom. — I śmiała. Kto wie, może w systemie. Ja, który zęby na gwiazdziarstwie zjadłem, mam najwięcej powodów do zwątpienia w system. Zresztą powiem ci, że niejeden filozof już od czasów starożytnych przypuszczał, że środkiem jest Słońce i że dookoła niego krążą planety, a Ziemia jest jedną z nich. Ale póki tego nikt matematycznie nie udowodni — ciągnął starzec — trzeba traktować tę hipotezę jako uroczą bzdurę, która w dodatku gorszyć może małuczkich, a więc może nie odpowiadać Kościołowi. Włóżmy to więc między bajki.

Mikołaj do końca pozostał zadumany. Podziwiał Brudzewskiego, że mówi o tych sprawach z takim spokojem.

Młodzieńcy schodzili się teraz rażno, po kilku chwilach gospodarz ocenił, że jest już komplet i zaczął mówić:

— Jest tu dziś między nami wasz nowy towarzysz, jeden z młodych scholarów. Zapalił się tak dalece do gwiazdziarstwa, że wydał mnóstwo pieniędzy na kupno jednego z nowych dzieł. W naszej dzisiejszej rozmowie na temat dziejów astronomii poświęćmy więc uwagę dwom sprawom, jakie w tej książce są zawarte. Opowiem wam wpraw, skąd wzięły się pewne tablice w niej zamieszczone, a potem rozpatrzemy wspólnie uwagi, jakie nasunęły się młodzieńcowi w czasie lektury.

Wypowiedź Wojciecha zamieniła się więc niepostrzeżenie w wykład, przerywany pytaniami scholarów. Profesor pozwalał, by stawiano mu pytania i wypowiadano własne poglądy w dowolnej chwili jego wykładu.

Wykładowca nawiązał do tego, co i inni słuchacze wiedzieli

już o Arabach, którzy jako pierwsi zabrali się do naprawy genialnie pomyślanego systemu ptolemejskiego. Ci świetni matematycy i obserwatorzy nieba nie stworzyli nowego modelu świata, poprzestali jedynie na poprawkach i przeróbkach tablic ruchu planet, opracowanych przez Ptolemeusza. Dopiero w XI wieku w miejsce jego przetłumaczonej na język arabski księgi zwanej „Almagestem” pojawił się „Anti-Almagest”. Była to pierwsza ostra krytyka Ptolemeusza, dokonana przez astronoma i matematyka Dżabira pochodzącego z Sewilli.

— Cóż to jednak są owe tablice króla Alfonsa, pomieszczone w książce przyniesionej przez naszego nowego przyjaciela? — kontynuował swój wywód stary profesor. — Otóż panujący w wieku trzynastym król Kastylii i Leonu Alfons X Mędrzec był człowiekiem, dla którego system świata nie wydawał się mniej ważny niż sprawy jego państwa. Zebrał przeto słynne do dziś kolegium sześćdziesięciu rzekomo astronomów arabskich i żydowskich i polecił im opracowanie nowych tablic astronomicznych. Zapłacił za to sto tysięcy dukatów, czym zasłużył sobie na przydomek najłaskawszego z królów, i na to, że zaczęto interpretować jego imię jako altus fons, czyli głębokie źródło mądrości. Jeden z uczonych opowiada o żalu, jaki miał Alfons do Stwórcy, że go nie poprosił o radę, stwarzając gmatwaninę orbit niebieskich. Za to po kilku latach pracy tego kolegium doczekał się spełnienia swej królewskiej zachcianki: tablice były gotowe. Spłodzone w klimacie mistyki wschodniej i w aureoli królewskiej łaski za astronomiczną sumę pieniędzy — zdobyły sobie wielką sławę. Nie są jednak niczym innym niż łataniną. Nie wniosły żadnego postępu do astronomii. Stąd te liczne wątpliwości, które nasunęły się przy ich czytaniu naszemu przyjacielowi.

— Mistrzu! — zawołał Mikołaj, srodze zawiedziony tą opinią, ściskając obiema rękami kupioną księgę.

— Nie martw się, mój synu — powiedział Wojciech z Bru-

dzewa, uśmiechając się ze współczuciem i życzliwością. — Odrodzenie astronomii przyszło skądinąd. Jego pionierami stali się dwaj uczeni niemieccy naszego wieku, mistrz i uczeń: Jerzy Peurbach i Jan z Königsberga we Frankonii, zwany przez humanistów Regiomontanem. Prostowanie błędów Ptolemeuszowych doprowadziło go do stworzenia własnego obrazu świata. Owocem tego były powstałe w roku 1460 „Nowe teoryki planet”, które przez ładnych parę lat komentowałem w studium generale, zanim nie przeszedłem na wydział teologiczny.

Brudzewski i teraz zabrał się do omawiania „Nowych teoryk”, starając się jak najwyraziściej opisać, o co chodziło Peurbachowi. Mikołaja jednak nie interesowało to zbyt. Ożywił się dopiero, gdy usłyszał nazwisko Regiomontana. Profesor opowiadał dzieje tego ucznia Peurbacha, później jego pomocnika i następcy. Pod koniec życia przeniósł się on do Norymbergi, gdzie urządził sobie obserwatorium, pracownię, a nawet własną drukarnię, w której wydrukował wiele książek. Zaproszony przez papieża do dokonania reformy kalendarza dla całego chrześcijaństwa pojechał w roku 1475 do Rzymu i tam po roku zmarł.

I znowu słyszał Mikołaj rzeczy, które doprowadzały go jedynie do wniosku, że wszyscy wielcy znawcy nieba byli tylko poprawiaczami starych tablic, a cała przyszłość astronomii ma ograniczać się do dalszych poprawek i uzupełnień. Niczego nowego w tym wszystkim, żadnego odkrycia epokowego. Nowinki przedstawiają wartość chyba co najwyżej jako zbiory ćwiczeń matematycznych. I postanawiał sobie, że będzie uczył się przede wszystkim matematyki i geometrii. Z uczuciem zawodu unosił z sobą astronomiczną księgę. Powiedział to Wojciechowi z Brudzewa i usłyszał w odpowiedzi:

— Zwątpienie jest uczuciem twórczym w nauce. Ja sam jestem sceptykiem, ale nie doprowadziło mnie to do niczego. Stawiasz dopiero pierwsze kroki i taka jest twoja nade mną przewaga, że jesteś ode mnie o jedno pokolenie starszy.

— Starszy? — zaśmiał się Kopernik.

— Tak, starszy, wstępujesz w życie również z moim dorobkiem, choćby on był nawet najlichszy.

— Mistrzu!

— Możesz i powinienes stać się tym, na którego świat bezskutecznie dotychczas czeka. Widzisz, to jest właśnie moja dewiza życiowa: sceptycyzm plus optymizm.

Po powrocie do domu ogarnęły Mikołaja sprzeczne myśli; zaczął szukać Macieja lub Marty, by u nich znaleźć radę. Nie zastał ich, widocznie poszli z dzieckiem na spacer i jeszcze nie wrócili. Ale po drodze wzrok jego padł na blaszane zwierciadło, kupione niedawno przez Macieja od italskiego kupca jako prezent dla żony. Zobaczył rysy swej twarzy — ostre, kanciaste i pełne niespodziewanych wypukłości. Zobaczył gęste, ciemne włosy, rozdzielające się na czole na obie strony. Taka twarz nie wróżyła mu spokojnego życia, rokowała niepokój i bunt, walkę przeciw światu i ludziom.

I w tej chwili napadła go ochota do utrwalenia tej twarzy na płótnie.

Gdyby tak przenieść zwierciadło do swej izdebki — zaczął myśleć. Ale przecież mogę również przyjść z malarskimi przyborami tutaj, Marta nie weźmie mi tego za złe.

I już biegł, już znosił palety i pędzle. Gdy po raz wtóry stanął przed lustrem, okazało się, że w komnacie panuje już mrok, zaczął więc zapalać świece. Ale wtedy zjawili się Szylingowie z dzieckiem. Wszystkie plany runęły.

— Cóż ty wyprawiasz w mojej komnacie? — wybuchnęła Marta śmiechem.

— Przepraszam cię — wyszeptał ze skruczą.

— Ależ nie szkodzi; pytałam tylko, co robisz. Mamy do siebie tyle zaufania, że nie potrzebujesz mi nawet odpowiadać.

— Ależ nie — pośpieszył z wyjaśnieniem. — Miałem zamiar malować przy zwierciadle swój własny portret.

— Wspaniały pomysł! — oceniła, kładąc dziecko do kolebki.

— Może by mi to pomogło poznać samego siebie i odkryć, kim właściwie zostanę w życiu.

— Wszystko razem wskazuje na twą artystyczną naturę. Zostaniesz artystą, wielkim, być może, artystą — powiedział Maciej.

Mikołaj opuścił głowę. Zbierał ze stołu przybory, by odnieść je z powrotem do swej izdebki.

— Nie — zaprzeczył. — Chciałbym raczej zostać lekarzem, nieść bliźnim pomoc w cierpieniu. A w tej chwili przyszło mi na myśl, by na portrecie trzymać gałązkę konwalii.

— Dlaczego konwalii?

— To lek nasercowy. Byłby więc z jednej strony symbolem medycyny, a z drugiej, symbolem miłości.

— Świetnie pomyslane. Ale przecież w ostatnim czasie pasjonowałaś się gwiazdziarstwem?

— Gwiazdziarstwo to nie nauka, to tylko system domysłów i wiecznie poprawianych błędów.

Maciej roześmiał się głośno.

— Trafiałeś w sedno, mój drogi. Ale weź pod uwagę, że minione wieki zahamowały rozwój wszystkich nauk i dopiero w naszych wielkich czasach zaczynają się od nowa rozwijać. Medycyna, którą tak wysoko stawiasz, jest, moim zdaniem, jedną górą bzdur i dopiero rodzący się w Italii rozwój anatomii, postępujący dzięki krajaniu zwłok ludzkich, może ją pchnąć naprzód.

— A matematyka?

— Chyba matematyka — przyznał Maciej. — Ona wydaje się być jedyną czystą dyscypliną, wolną od bzdur.

— Może masz rację — przyznał Kopernik.

Dojrzewanie

Matematyka i geometria stały się dyscyplinami, którym Mikołaj poświęcał najwięcej czasu. Okoliczności sprzyjały temu. W zimowym semestrze prawdziwym objawieniem była dla niego geometria Euklidesa, którą w lektorium Arystotelesa wykładał docent Bartłomiej z Lipnicy. Oszołomiony podziwem dla praw liczbowych, objawionych w rzeczach, słuchał wykładów Bartłomieja z wypiekami na twarzy. A wróciwszy do domu otwierał kupione jesienią dzieło Euklidesa, zestawiał jedno z drugim, porównywał, pogłębiał swą wiedzę. Geometria jednoczyła w sobie to wszystko, co lubił najbardziej: rzeczowość, jasność, prostotę, obrazowość i twardą logikę praw niezachwiających.

Nie oderwały go od niej nawet nowe wydarzenia dnia. Nie poszedł po prostu — choć wiedział, że naraża się tym władzy zwierzchniej — na uroczyste powitanie króla, które dwudziestego grudnia odbyło się na Wawelu. Profesorowie i scholarowie z rektorem Janem Latoszyńskim na czele poszli na zamek uroczystą procesją. Dowiedział się o tym później z relacji kolegów, usłyszał o wspaniałej mowie, wygłoszonej przed Janem Olbrachtem przez mistrza Jana z Oświęcimia, dziekana wydziału sztuk wyzwolonych.

Nie pociągnęły go nawet zamieszki uliczne, jakie wybuchły na tle starych antagonizmów dzielących studentów niemieckich i węgierskich. Mikołajowi nie wydawały się one właściwą formą uczestnictwa w sporach, jakie toczyły się między profesorami. Wojciech z Brudzewa, Jan Sommerfeld, Jan z Głogowa i Pa-

węł z Zakliczewa bronili tego wszystkiego, co wtargnęło do Krakowa z ideami humanistycznymi, występując przeciw wstecznym atakom Michała z Bystrykowa, Jakuba z Gostynina i innych. Studenci niemieccy stanęli po stronie humanistów, lecz to pogorszyło ich sytuację, pociągając za sobą represje ze strony wciąż jeszcze silnych scholastyków. Świeże, orzeźwiająca przejawy wolnej, nieskrępowanej myśli, wyrastające z żywej gleby antyku, były od nowa duszone przez dogmatyzm. Rękopisy i druki z tekstami klasyków rzymskich — georgiki i bukoliki Wergilego, retoryki i pisma filozoficzne Cyserona, „Metamorfozy” Owidiusza, ody i epody Horacego, przekłady epopei Homera, pisma Petrarcki i neolacinników — krążyły w tajemnicy, chowane skrzętnie przed prześladowcami.

O tym wszystkim rozmyślał Mikołaj, kładąc farbę na płótno, by przedstawić na nim półtoraroczną Annę. Marta trzymała ją na swych kolanach, ale nie rozmawiali prawie, oboje zatopieni w myślach. Zbliżała się wiosna, tak bardzo sprzyjająca marzeniom. Przebywanie w domu, w którym żyła młoda kobieta, kryło w sobie niebezpieczeństwa. Mikołaj chwycił siebie często na marzeniach o Marcie. Dostrzegał też coś tajemniczego w jej oczach. Prawdopodobnie oboje czuli czyhające niebezpieczeństwo i oboje się przed nim bronili, czasem całymi dniami unikając swego widoku.

Zakończywszy malowanie Mikołaj wybrał się znów do Wojciecha z Brudzewa. Dostał zaszczytu częstszego bywania u niego i rozmów w cztery oczy. Ale dzisiejsza wizyta miała być jedną z ostatnich. Stary profesor czekał tylko wiosennego ocieplenia, by wybrać się w długą, uciążliwą podróż na Litwę, dokąd książę Aleksander wzywał go jako swego doradcę. To była jeszcze jedna przyczyna smutku, jaki opanowywał Mikołaja.

Nie zerwał bowiem z gwiazdździarstwem tak, jak to zamierzał. Sceptycyzm Brudzewskiego zapładniał go i pociągał. W samo-

tnych rozmowach mistrz przyznawał się do myśli, których nie zwykł głosić nie tylko publicznie, ale nawet w szerszym gronie domowych gości.

Wprowadza się fikcję dla ratowania teorii — rozmyślał Mikołaj z goryczą. — A przecież i różne wynalezione przez astronomów koła były, zdaniem mistrza, fikcją, o ekscentrykach na przykład powiedział pewnego razu: „Nikt ze śmiertelnych nie wie, czy w sferach planetarnych istnieją one rzeczywiście, chyba że uznamy je, jak wielu tego chce, za objawienie duchów, jeżeli nie po prostu za wytwór wyobraźni”.

To wszystko i zniechęcało, i wciągało zarazem. Bo szkoła uczy wymyślonych przez jakieś tam autorytety bzdur, a rzeczywistość jest z pewnością odmienna. Jaka jednak? — To pytanie doprowadzało Mikołaja do zawrotów głowy, do obłędu niemal. Postanowił zapytać dziś Brudzewskiego, czy, jego zdaniem, może istnieć system inny od Ptolemeuszowego.

Profesor bynajmniej nie czuł się urażony prowokacyjnym pytaniem. Wydawało się czasem, że uczy się na pytaniach scholara. Ta dzisiejsza hipoteza wcale nie była przecież dlań nowością. Zmarszczył czoło i powiedział:

— Mówiłem ci już raz: na nic wszelkie hipotezy, jeżeli dowodów brak. Jeżeli ktoś ma stworzyć coś jeszcze wątlejszego od systemu Ptolemeusza, to lepiej niech da spokój.

I zaczął opowiadać o domysłach, które rodziły się już w starożytności.

— Nawet Ptolemeusz nie wykluczał możliwości ruchu Ziemi i systemu heliocentrycznego. Ten mądry uczony w ogóle nie absolutyzował swego systemu, nie analizował zresztą bliżej jego filozoficznych i kosmologicznych podstaw, to zrobili — jak to zawsze bywa — za niego inni. Nie uważał także, by skomplikowany system kół istniał w rzeczywistości, lecz twierdził jedynie, że jest on najlepszą podstawą do matematycznego obliczenia ruchów ciał niebieskich.

— Jakie więc przypuszczenia snuli przeciwnicy systemu geocentrycznego? — pytał Mikołaj żarliwie, tak jakby chciał posiadać w jednej chwili wszystkie mądrości świata.

— Hiketas z Syrakuz przypuszczał, że niebo, Słońce, Księżyc i wszystkie gwiazdy trwają w bezruchu, a tylko Ziemia obraca się szybko wokół własnej osi, co sprawia wrażenie, jakby niebo poruszało się w olbrzymich obrotach, a Ziemia była nieruchoma.

— To niemożliwe, taki zastój we wszechświecie!

— A mimo to Heraklejdes z Pontu i Pitagorejczyk Ekfantos myśleli to samo.

— Nie! To już wolę Ptolemeusza!

— Woleć to ty możesz sobie różne rzeczy, chłopcze. Słuchaj, co inni mówili. W dziele innego Pitagorejczyka, Filolaosa, można znaleźć zdanie twierdzące, że Ziemia kręci się dookoła ognia po pochyłym kole. Arystarch z Samos zaś wysnuwa czysty system heliocentryczny.

— To jest chyba jedyna możliwość poza systemem Ptolemeusza!

— Może.

W ten sposób rozmawiali długie godziny. Mikołaj wracał od Brudzewskiego skołowany, zniechęcony i zapalony zarazem, pełen niepokoju i buntu. Wiedział jedno: że sceptycyzm rozsiewany przez Wojciecha z Brudzewa jest największą zdobyczą polskiej astronomii. Brał z pasją pędzel do ręki i z pamięci malował to, czego jeszcze brakowało w portrecie małej Anny. Znał na pamięć jej twarz.

Wojciech z Brudzewa wyjechał z Krakowa z wielką pompą. W studium generale pożegnanie odbyło się uroczyście, w obecności wszystkich profesorów i scholarów. Starzec wyprawił pożegnanie także u siebie w domu; Mikołaj miał zaszczyt wziąć w nim udział i siedzieć w gronie najznamienitszych mężów Krakowa.

Brudzewski wyjechał, a świat istniał dalej. Mikołaj dotykał tego świata właściwie niekiedy tylko, gdy wyszedłszy ze swej ślimaczej skorupy brał raz po raz udział w koleżeńskich dysputach, toczonych na uczelnianym dziedzińcu, niekiedy wręcz na ulicy, kiedy indziej w winiarni lub na zamiejskim spacerze. W tych rzadkich chwilach błyszczał inteligencją i wiedzą, refleksem i składnością wypowiedzi. Przyjaciele mawiali wtedy między sobą: — Ho, ho, Mikołaj to mądra sztuka!

Drogi zewsząd prowadziły jednak uparcie na ulicę Grodzką, gdzie w domu Szylingów był dopiero naprawdę sobą.

Gdy ostatniego dnia przed międzysemestralną przerwą przyszedł na obiad, Marta była w kuchni, gdzie jeszcze wydawała dyspozycje, a Maciej siedział sam przy przygotowanym już do posiłku stole. Zobaczywszy Mikołaja odłożył trzymaną w ręce książkę i powiedział:

— Siądź, Mikołaju, tu, blisko przy mnie. Muszę ci zadać kilka pytań, a może i powiedzieć kilka rzeczy.

Był to dziwny, niecodzienny wstęp, nigdy tak z sobą nie rozmawiali. Mikołaj postąpił wedle życzenia swego gospodarza.

— Wiem, że po urodzeniu Anny sporządziłeś jej horoskop. Dlaczego nie pokazałeś go nam?

— To było tak dawno. Zapomniałem już nawet treść horoskopu. Zresztą nie wierzę w astrologię, interesuje mnie tylko astronomia teoretyczna. Poza tym zapewniam cię, że w horoskopie nie było nic interesującego.

— Nie? — Maciej patrzył mu prosto w oczy. — A mnie się zdaje, że celowo przemilczałeś całą sprawę.

— Macieju, skąd ci to przyszło do głowy?!

Maciej opuścił wzrok.

— Boję się. Boję się, że w moim domu stanie się coś złego.

Mikołaj pochwycił jego dłoń. Pomyślał, że to on może stać się przyczyną nieszczęścia. W duchu postanowił sobie wyjechać gdzieś na czas przerwy semestralnej, nie widywać Marty.

— Macieju, uspokój się, nie wierz w takie lęki, nie bądź zabobonny, żyjemy przecież w czasach, kiedy nie godzi się tak myśleć! — mówił błagalnie.

Ale Maciej uparcie patrzył w podłogę, a jego twarz była jakby kamienna.

— Boję się, że Anna umrze.

— Nie! — krzyknął Mikołaj. — To jedno dobrze pamiętam z horoskopu, że Anna będzie żyła długo, wcale nie pisano jej rychłej śmierci.

— Albo Marta — uzupełnił Maciej.

Mikołaj zamilkł, serce zaczęło bić w nim szybko i mocno — tak że prawie słyszał jego rytm.

W tej chwili weszła Marta i powiedziała z uśmiechem:

— Jak to dobrze, że jesteście gotowi do obiadu. Zaraz podadzą do stołu.

Odetchnęli z ulgą, ale patrzyli na siebie niepewnie.

Sól

Marta nie była nigdy zdrowsza niż teraz, jedynie malutka Anna, która tyle biegała po całym mieszkaniu i mówiła coraz dłuższymi, piękniejszymi zdaniami, wątpiała trochę i słabła. Rozmowa z Maciejem stanowiła dla Mikołaja wstrząs, po przeżyciu którego zaczął patrzeć na ludzi, zjawiska i wydarzenia obiektywniej, starając się przyjmować bardziej zewnętrzny punkt widzenia. Już dawno przeminął w nim żal po Wojciechu z Brudzewa, a nawet wydawało mu się, że z wykładów Szymona z Sierpca skorzystał więcej niż ze sceptycznych twierdzeń starego profesora. Jego pogląd na świat wypełniał się, jaśniał. Świat stawał się piękniejszy i miłszy, a sprzyjała temu rozpoczynająca się złota jesień — pora, którą lubił szczególnie, może ze względu na jej owocodajność, może pod wpływem wspomnień dawnych winobrań w Kaszczorku?

Wyjazd Wawrzyńca Korwina do Świdnicy, gdzie utalentowany poeta miał się ożenić, a także przyjąć posadę bakałarza, został Mikołajowi powetowany przez nowo zawiązane przyjaźnie.

Z docentem Marcinem Biemem — najzdolniejszym i najmłodszym, niewiele starszym od Mikołaja wykładowcą — spotykali się poprzednio jeszcze u Wojciecha z Brudzewa. Nie słuchał nigdy wykładów Marcina, jakoś nie mieściło się to w czasie, ale poza domem Brudzewskiego spotykali się raz po raz w mieście i wstępowali do winiarni przy rynku, by pogwarzyć o nowych książkach lub na tematy gwiazdziarskie. Marcin najwięcej uwagi poświęcał sposobom wyznaczania długości roku zwrotnikowego, który stał się w ciągu wieków podstawową jednostką

astronomiczną. Jej dokładna długość była niezbędna, między innymi dla przeprowadzenia skutecznej reformy kalendarza. Ale te praktyczne problemy interesowały Kopernika najmniej, pasjonowały go same obliczenia, wystarczała sama matematyka i jej efekty.

Bardziej zażyłą przyjaźń zawarł Mikołaj z krewniakiem kanonika, Biernatem Wapowskim, oraz z Janem i Jerzym Konopackimi, z którymi Kopernikowie byli spowinowaceni przez Waczenrodów.

Biernat przyjechał właśnie do Krakowa na studia i poczuł się samotny, a towarzystwo Andrzeja mieszkającego przy jego wuju nie odpowiadało mu. Lubił poważne rozmowy i miał w sobie dziecięcą ciekawość świata. Z Mikołajem od razu przypadli sobie do gustu i gdyby nie szczególne więzy łączące młodszego Kopernika z Szylingami, ten byłby gotów zamienić się mieszkańcem z bratem. Nie czyniąc tego ze względu na trwającą przyjaźń z Maciejem, Martą i Anną — pocieszał się, że niewielkie oddalenie od Biernata umacnia i utrwala zażyłość z nim. I rzeczywiście, pokochali się na dobre, stali się niemal nierozłączni. I z pewnością to poprawiło atmosferę w domu Szylingów, z pewnością to sprawiło, że Mikołaj wyszedł jakby ze skorupy. A zarazem powoli zmieniał swój stosunek do Marty.

Konopaccy przybyli na studia do Krakowa w tym samym czasie co Kopernikowie, nie zetknęli się jednak dotychczas ze sobą. Kopernikom obilo się nazwisko Konopackich o uszy jeszcze w domu, słyszeli je także od wuja Łukasza, gdy opuszczali Lidzbark. Powinowactwo było jednak dalekie, a więzy między rodzinami luźne. Trzeba więc wyjątkowego przypadku, by Mikołaj rozpoznał Jana i Jerzego podczas pobytu w Bursie Jerozolimskiej, w której krewniacy mieszkali. Konopaccy okazali się świetnymi towarzyszami do wszystkiego, co zresztą stało się oczywiste w pełni dopiero teraz, podczas międzysemestralnej przerwy.

Jechali oto wynajętym wozem do Wieliczki w sześciu: Andrzej, Mikołaj, Marcin, Biernat, Jan i Jerzy. Zamierzali wstąpić po drodze do Bogucic, gdzie miał swą majątność Mikołaj Świdnicki, pochodzący z rodziny od dawna zaprzyjaźnionej z rodziną Koperników. Przyjaźń ta datowała się z czasów, gdy ojciec rozpoczął handlową karierę w Krakowie.

Do wycieczki tej namawiał wielokrotnie jeszcze przed swym wyjazdem Wawrzyniec Korwin, nigdy jednak nie zdołali ustalić dogodnej dla wszystkich pory, w rezultacie czego Korwin zwiędził Wieliczkę sam, bez Mikołaja.

Jechali teraz wozem wymoszczonym sianem. Furman poganiał koniki; Mikołaj patrzył w niebo i w pewnej chwili sam nie wiedząc dlaczego zaczął recytować:

Los, myśl, uczucia miłosne, najśłodsze.
Strwożone o mnie, w czas przeszły wpatrzone,
Tak mnie wciąż męczą, że czasem zazdroszczę
Tym, którzy przeszli już na drugą stronę.

Miłość mi serce topi, los odziera
Z wszelkiej pociechy, a myśl łamie palce
W gniewie i płaczu, i człowiek się zżera
Żyjąc w cierpieniu, w nieustannej walce.

Boję się, że już dni dobre nie wrócą,
Na miejsce złego gorszy wiatr zawieje;
Mam drogę życia o połowę krótszą.

Słowa pociechy są kruche i kłamią.
Widzę, że z rąk mi ulata nadzieja
A wszystkie myśli moje w pół się łamią.*

* Przypisy znajdują się na końcu książki.

Towarzysze wsłuchali się w jego płynną, rytmiczną recytację. Gdy skończył, trwała przez pewien czas cisza. Wreszcie Jan Konopacki zapytał:

— Cóż to, Mikołaj zadurzony?

— Nie! — zaśmiał się Andrzej. — On zakochany. Jemu jeno książka i pióro. Wino i dziewczki to nie dla niego.

Mikołaj pomyślał, jak bardzo brat go nie zna. Tymczasem Marcin Biem wszczął inną rozmowę: — To Petrarka. Tak, Mikołaju?

— Tak, zgadłeś.

— Wielki poeta italski, jeden z pierwszych humanistów. Ech, Italia! Ile jej zawdzięczamy! Odmienia się całe życie nasze. Jak dobrze żyć w wielkich czasach. Zobaczycie, będziemy jeszcze przytomni ogromnemu rozwojowi nauk i wielkim odkryciom.

— Z wyjątkiem astrologii! — zawołał Andrzej, który był w całej grupie najstarszy i najwięcej mu uchodziło, choć sam był scholarem jeszcze, a Biem już wykładowcą.

— Gwiazdciarstwo, trzeba przyznać, jest w pewnym impasie. Ale ja osobiście jestem pewien, że i ono postąpi naprzód, może nawet w sposób rewolucyjny — mówił Marcin powoli, dobitnie, z wewnętrznym przekonaniem. Trzeba tylko natrafić na tę złotą żyłę. Wiecie, wydaje mi się, że nasze pokolenie dokona przewrotu i w tej dziedzinie. A może nawet stanie się to w Polsce. Nie doceniamy dziś jeszcze wielkiej myśli sceptycznej Wojciecha z Brudzewa, lecz tuszę, iż nadejdzie czas, gdy myśl ta zaowocuje.

— Tra-la-la — powiedział Andrzej. — Rzucamy się na odkrywanie nieba, a nie znamy ziemi.

— I ja sędzę — wtrącił nieśmiało Biernat Wapowski — że więcej w naszych czasach odkrywamy na ziemi. Sporządzenie kompasu otwiera nieograniczone możliwości poznawania nowych mórz i lądów. Pomyślcie, co to znaczy: mieć przyrząd zastępujący gwiazdę polarną we dnie i w nocy, przy słonecznej

czy chmurnej pogodzie. Zawsze. To znaczy móc żeglować z większą pewnością, dobić wszędzie, gdzie tylko wiatr może zanieść. Ponoć po odkryciach owego genueńczyka, Krzysztofa Kolumba, inni śmiałkowie wybierają się w podróż dookoła świata.

— Więc jednak sprawdza się hipoteza, że Ziemia jest kulą, podobnie jak Słońce, Księżyc i inne planety — marzył głośno Mikołaj.

— Ech, ten znowu swoje. Wróc na ziemię, braciszku! — wyrwał go z zamyślenia Andrzej. — Chcesz żeglować po niebie, a najbliższej okolicy Krakowa nie widziałeś. Popatrz, jak tu ładnie, jak inaczej niż na Kujawach.

Krajobraz był nierówny, pofałdowany. Wóz to szedł pod górę, to szybko zjeżdżał na dół. Widok urozmaicały wyrastające z jasnego gruntu skały i przycupnięte tu i ówdzie polne drzewa lub krzewy. To nie to, co na płaskich, czarnych Kujawach.

Z Mikołajem Świdnickim młodzi Kopernikowie już się dwa albo trzy razy widzieli w Krakowie. Teraz po raz pierwszy ujrzeli go w ślicznym dworku modrzewiowym. Gospodarstwo nie wyglądało na duże i bogate; najważniejsze, że było samodzielne i niezależne. Doszło bowiem już do tego, że mieszczanie krakowscy ziemię nabywali.

Za gospodarzem wyszła przed dom i gospodyni z dwiema dorodnymi córkami. Nie było mowy, żeby odmówić gościny. Otrzymawszy zapewnienie, że wszyscy goście znajdą na sianie wygodny nocleg, odprawili furmankę, zapłaciwszy wozakowi ile należało. Świdnicki zapewnił, że nazajutrz zawiezie ich do Wieliczki własnymi końmi.

Zajechali następnego dnia około południa i pobyt swój w miasteczku rozpoczęli od zjedzenia obiadu w gospodzie. Spotkali w niej przy piwie dziwnie ubranych pracowników saliny. Próbowali nawiązać z nimi rozmowę, lecz wychudzeni i na pół dzicy mężczyźni wyglądali tak, jak gdyby bali się otworzyć

usta. Było znać po nich biedę, jaką w miastach spotykało się jedynie wśród żebraków pod kościołami.

Otrzymanie pozwolenia na zwiedzenie kopalni nie było sprawą ani łatwą, ani prostą. Z jednej strony starał się o to Marcin Biem jako wykładowca krakowskiej akademii, z drugiej — Świdnicki po sąsiedzkich znajomościach, bywał bowiem często w salinach z różnymi interesami. Wspólne działania ich obu przyniosły pomyślny skutek. W pewnej chwili do grupy podszedł stary ale barczysty chłop i przedstawił się jako sztygar, któremu poruczono oprowadzenie panów magistrów. Wolnym, statecznym krokiem zaprowadził ich do szybu.

W głąb ziemi opuszczali się kolejno na linach, przymocowanych do kołowrotu. Mikołaj odczuwał ogarniający go stopniowo ziąb. Zebrawszy się wreszcie razem na dole w korytarzu wyjściowym przyjaciele ruszyli przed siebie i po pewnym czasie doszli do komory. W gęstym, rozjaśnionym pochodniami mroku uwijali się ludzie. Od ziejących smrodem lecz i nieźle świecących pochodni i górniczych lampek komora pełna była łśnień i migotań. Jedni robotnicy rąbali oskardami ścianę, z której odrywały się większe bryły i mniejsze ułamki, a także sypał się solny piasek. Inni wbijali w białą skałę żelazne kliny. Osobna grupa łądowała urobek do wózków, które odwożono do szybu, by tamtędy wydobyć na światło dzienne ceną zdobycz.

Mikołaj nie słuchał prawie objaśnień i komentarzy sztygara. Był świadom, że znajduje się ponad sto metrów poniżej powierzchni ziemi. Ależ to nic nie znaczyło i Marcin Biem potrafiłby może obliczyć, jaka jest długość osi kuli ziemskiej. Ale na taką głębokość żaden człowiek nie wryje nory. Zresztą wewnątrz tej kuli jest prawdopodobnie ogniste. Ponoć w Italii są wulkany, wyrzucające ze środka ziemi rozżarzone ogniem i stopione na ciec skały, które na wierzchu z powrotem kamienieją.

Tak, to prawda, że uganiamy się za gwiazdami nie znając dobrze matki-ziemi, która nas rodzi i żywi.

Ta myśl przywołała Mikołaja do rzeczywistości. Oto jego towarzysze zaczęli już wchodzić na wysoką drabinę. Poszedł za nimi. Minęli znów długi korytarz i znaleźli się w innej grocie solnej. Potem szybkimi pionowymi schodzili po drabinach coraz głębiej; w jednej z kolejnych komór zapanowała zupełna ciemność.

Prowadzący ich sztygar musiał zapalić dwie pochodnie. Grota, w której się znaleźli, była ogromna. Jej nierówne sklepienie iskrzyło się jak niebo w sierpniową noc. Ale prawdziwy cud pokazał im dopiero przewodnik. Otóż w drugim końcu groty rotaczał się staw. Błyszczącymi, w soli wykutymi stopniami można było zejść ku wodzie. Mikołaj uczynił to pierwszy i zanurzył w wodzie dłonie, oblizał ją. Słoność wypełniła natychmiast jego usta. Wtedy, cofnąwszy się pod ściany groty, wpił się w jej kryształową powierzchnię wargami i językiem. Słoność w ustach spotęgowała się. Wydawało mu się, że za chwilę sam zamieni się w słupek soli, jak biblijna żona Lota. I pomyślał: — Takie słone jest życie. Nie słodkie, lecz przecież i nie gorzkie nieznośnie. Jest takie właśnie, że człowiek zawsze pragnie.

Pożegnanie Krakowa

Zamiast z kancelarii rektora iść prosto do domu, Mikołaj zbożył z drogi i szedł z pochyloną głową bez celu, aby po prostu pospacerować. To były jego ostatnie dni w Krakowie. Miał już za sobą wszystkie dysputy i egzaminy. Załatwiał teraz jeszcze ostatnie formalności w kancelarii uczelni i już nikogo nie nie obchodził.

Chodził ciasnymi uliczkami, potem przeszedł pod mury miejskie i spacerował wzdłuż nich. Czego właściwie nauczył się w Krakowie? Niepokoiło go teraz przecucie, że im więcej człowiek zdobywa wiedzy, tym większy odczuwa jej niedostatek.

Znał na pamięć aż nadto dobrze szkolne formuły o ruchu ciał niebieskich, formuły, które dziś już nie zadowalały nikogo z wyjątkiem ludzi nie znających się na rzeczy. Potrafił wytłumaczyć najmniej z niebem obeznanemu profanowi najprostszy mechanizm Słońca. Wytłumaczyłby prawdopodobnie nawet dziecku ruchy Wenus, Marsa, Jowisza i Saturna.

Wcale nie spostrzegł się, jak wszedł w szerszą ulicę Floriańską, na której — podobnie jak to już od kilkadziesiąt lat bywało na rynku — co bogatsi mieszczenie budowali sobie przedproża, będące poszerzeniem sieni kosztem ulicy. Zaczęli się tak urządzać i niektórzy mieszczenie toruńscy, nie było to jednak tam w tak powszechnym zwyczaju.

Zagapiwszy się wszedł prosto na takie przedproże po schodkach prowadzących do czyjegoś domu. Odpoczywająca na świeżym powietrzu rodzina patrzyła nań zdumiona. Skłonił się, przeprosił i poszedł dalej. Ktoś tam chyba za nim coś powiedział,

lecz go to nie interesowało. Może ci ludzie znali po prostu Macieja, który jako medalier i mincerz zdobywał sobie coraz większe uznanie. Przez Szylinga znali ludzie i Kopernika.

Wspomnienie Macieja obudziło w nim najsmutniejsze myśli. Toteż zamiast pójść wzdłuż Sukiennic prosto ulicą Grodzką, zбочył na lewo za mur kościelnego ogrodzenia i zaczął chodzić wzdłuż grobów.

Nigdy nie lubił tych miejskich cmentarzy — kamiennych, dotykających z jednej strony kościoła, z drugiej, poprzez mur, ulicy lub kamienic, pozbawionych zieleni, którą tak bardzo lubił na cmentarzach wiejskich. Najbardziej raziły go kostnice między kościelnymi skarpami, gdzie pospólstwo chowało zmarłych we wspólnym dole. A jednak zamiast iść, by jeszcze raz podziwiać wspaniałe dzieło Wita Stwosza i szukać na nim postaci, której prototypem była Marta, udał się między groby, by stanąć nad jej mogiłą.

Anna chorowała, a Marta umarła. To było nieludzkie i w ogóle niezgodne z wszelkimi pojęciami o życiu. Gdy tylko dziecku zabrakło matki, zaczęło być zdrowe. Od śmierci Marty Anna ani razu nie poskarżyła się na żadną dolegliwość. Była też jeszcze zbyt mała, by odczuć brak matki, którą zastępowała jej stara, troskliwa służebna. Biegała wesoło, zapewne w przekonaniu, że jak jest, tak musi być, że tak jest właśnie dobrze. A Maciej ginął w oczach i tylko praca ratowała go przed skutkami rozpacz. Od dnia pogrzebu nie rozmawiali prawie wcale, choć minęło już parę miesięcy.

Stał nad mogiłą z przymkniętymi oczyma i widział twarz Marty jak żywą. Ta twarz była nie do zapomnienia, bo dziecko przypominało ją swym niewiarygodnym podobieństwem, a w domu wisały aż trzy sporządzone przez Mikołaja portrety zmarłej.

Stał nad mogiłą zupełnie utraciwszy wszelki kontakt ze światem i myślał o swej miłości do Marty — miłości mimo wszystko czystej, którą nie czynił krzywdy Maciejowi.

Czyż to zresztą była na pewno miłość do Marty? — Zdawało mu się, że to uczucie uogólnione, mające mu zastąpić wszystkie miłości całego życia, łącznie z miłością matki, która także już nie żyła. To było chyba to samo uczucie, którym wpierył Annę z Torunia, a teraz przeniósł na córeczkę Marty, na dziecko przez siebie samego nazwane imieniem tamtej.

A więc Marta nie żyła, nie żyła matka w Toruniu, pogrzebana przez Gertnerów pod kościołem Świętej Anny. Nie zobaczy już nigdy ani jednej, ani drugiej z tych kobiet — najbliższych w życiu. Podobnie jak nie zobaczy ojca, jak nie zobaczy Mikołaja Wodki z Kwidzyna — pierwszego nauczyciela, który otworzył mu oczy na niebo.

Niebo w ostatnich czasach stało się dla niego czymś jeszcze innym. Mikołaj poszedł za duchem mijającego już czasu i znużony daremnymi obliczeniami ruchów planet zajął się astrologią — horoskopami. Nie rzucił bynajmniej astronomii teoretycznej, lubił przede wszystkim obserwacje, których z Marcinem Biemem dokonywali bardzo wiele, nie wyłączając obserwacji słynnego zaćmienia Księżyca. Przypadło akurat na Wielki Piątek i ludzie z tego faktu wróżyli różne większe i mniejsze wydarzenia, wydające się Mikołajowi wierutnymi głupstwami.

Otóż tymi głupstwami, bo tak to zawsze nazywał, zajął się też i on sam w ostatnich dwóch latach, by nie uczynić zawodu wujowi i rodzinie. Cóż by znaczyło dla nich całe jego wykształcenie, gdyby nie potrafił postawić porządnego horoskopu? Do zajęcia się tymi sprawami znalazł zachętę ze strony wybitnych magistrów, poczynając od Mikołaja z Wrocławia, kończąc na urzędowym profesorze astrologii, Wojciechu z Szamotuł. Przepisał więc sobie tekst astrologiczny „O poszukiwaniu stopnia wschodzącego według Ptolemeusza”. Pracował nad horoskopem i własnym, i całej rodziny. Notował w swoich szpargałach: „Według Ptolemeusza. Ptolemeusz w rozdziale V trzeciego czworońskiego rozpoznaje sytuację braci z domów: dziesiątego, dru-

giego, czwartego i piątego, z planet tam się znajdujących oraz według wskazówek znaku rodziców: albowiem znak pośrodku nieba należy do matki, drugi zaś— do jej dzieci”.

„Jeżeli Saturn i Wenus świecą na wschodzie i zdarzą się im właściwe almugeia, albo jeżeli utworzą kąty, powinniśmy stąd przepowiadać oczywiste szczęście rodziców, stosownie do jakości każdego z nich Ptolemeusz w rozdziale IV księgi trzeciej (...) gotujące los rodziców, również dobra konfiguracja Słońca z Saturnem przedłuża życie ojca, zła zaś przeciwnie (...). Podobnie o matce wróżą (...)”.

„Zauważ, że jak nieszczęściom ojca sprzyja Mars, podobnie matce towarzyszy Saturn”.

Cóż to wszystko pomogło! I ojciec dawno już w grobie i matka. Z bratem zawsze tylko kłopot. Dobrze, że siostróm się wie-dzie. Gertnerowa Kasia szczęśliwie hoduje dzieci, Barbara w Chełmnie ksienią u cystersek została. Trzeba się starać, by siostróm dorównać i wujowego zaufania nie zawieść.

Po śmierci Marty jeszcze raz — ale już z większym zasobem wiedzy — sporządził horoskop małej Anny. Wszystko powtórzy-ło się dokładnie, łącznie z serią nieszczęść pod koniec dość dłu-giego życia, poprzedzoną kilku latami szczęścia.

Klęknął na chwilę przy grobie, nad którym tyle czasu stał i zmówiwszy krótką modlitwę prędko opuścił cmentarz. Minął furkę, odetchnął na rynku pełną piersią i skierował się prosto w ulicę Grodzką. Słońce świeciło, mieszczanie wygrzewali się na przedprożach. Kupcy w Sukiennicach zwijali swoje kramy. Z jednej z winiarń wysypała się gromadka podpitych studentów. No tak, trzeba będzie jeszcze pożegnać się należycie z przyja-ciołmi: z drogim Marcinem Biemem, z Konopackimi, z Biernat-em Wapowskim, z innymi. Szkoda, że Wawrzyńca Korwina nie będzie na tej uczcie pożegnalnej. Pisał ostatnio ze Świdnicy, że taki szczęśliwy z młodą żonką.

Mała Ania, jak to często teraz bywało, biegła ulicą na jego

spotkanie. Tak czyniła zawsze, gdy tylko miała sposobność dostrzec, że „wujek” się zbliża.

— Wujku! — wołała z daleka. — Wujku!

Była już niemalą dziewczynką, ale jeszcze w tym wieku, kiedy wypada gramolić się dorosłemu człowiekowi na ręce.

Na górze dziewczyna służebna podała mu zapieczętowane pismo. Był to list od wuja Łukasza. Mikołaj śpiesznie go rozpieczętował i czytał:

„Kochany Mikołaju! Posyłam przede wszystkim Tobie i Andrzejowi swe pasterskie błogosławieństwo, mając nadzieję, że zastanie ono Was jeszcze w Krakowie. Wiem, że obaj z Andrzejem opuścicie wkrótce stolicę, lecz obawiam się, że moglibyście zbyt długo zabawić w Toruniu, a bardzo zależy mi na tym, byś Ty szczególnie jak najprędzej przybył na Warmię. Ufam, że w niedalekiej przyszłości będziecie mogli podjąć studia prawnicze albo medyczne, a w przyszłości może i teologiczne.

Muszę Ci teraz wyłożyć przyczynę, dla której chcę Cię prędko na Warmii zobaczyć. Otóż wczoraj otrzymałem z Fromborka wiadomość, że 26 sierpnia Bóg powołał przed swój sąd wielbego kanonika, świętej pamięci Jana Zanau. I otóż przyjmij do wiadomości, że na opuszczone miejsce w kapitule stawiam Twoją kandydaturę, choć wiem, że to wywoła wściekłość i sprzeciw niektórych jej członków. Korzystam jednak z przynależnego mi prawa i wolę swą przeprowadzę, a przy najbliższej szczęśliwej okazji uczynię kanonikiem również Andrzeja. Powiedz mu o tym, by nie sądził, że wybór Ciebie jako pierwszego oznacza dlań utratę szansy. Dlaczego Tobie dałem pierwszeństwo, o tym porozmawiamy przy okazji”.

Dalej wuj donosił o nienadzwyczajnym stanie swego zdrowia, o wciąż jeszcze napiętych stosunkach z kapitułą, o swym rosnącym autorytecie politycznym na Warmii i w Prusach. Nie szczędził też informacji o tym, że z Torunia i Chełmna ma dobre wiadomości, że zarówno Katarzyna jak i Barbara cieszą się dob-

rym zdrowiem. Służy ono także jego siostrze a Koperników ciotce — Krystynie — i jej mężowi, Allenowi.

Macieja nie było w domu, zapowiedział zresztą, że wróci dopiero na wieczerzę, bo musi uczestniczyć w jakiejś naradzie monetarnej na Wawelu. Mikołaj więc wziął za rączkę małą Annę, by z nią razem pójść na ulicę Kanoniczą i tam, zaznajomiwszy Andrzeja z treścią listu wuja, uzgodnić czas opuszczenia stolicy, a właściwie doprowadzić do tego, by z którymś z właścicieli statków dogadać się w sprawie podróży Wisłą do Torunia.

Andrzej, usłyszawszy o liście adresowanym do młodszego brata, wpadł w furję, która wzrosła jeszcze, gdy przeczytał, że Mikołaj, jako pierwszy, ma zostać fromborskim kanonikiem. Zarzucał bratu prowadzenie tajemnych knowań z wujem. Miał się nie tylko za starszego, lecz i za mędrszego, przedstawiając pociąg Mikołaja do ksiąg jako przejaw życiowej niezaradności.

— Kto nie nadaje się do życia, ten ratuje się ucieczką do ksiąg. A głupiej od nich i psuje się tak dalece, że zarażony chorobliwymi ideami filozofów postępuje podle nawet w stosunku do najbliższych i najżyczliwszych.

Mikołaj wycofał się powoli z izdebki, szczęśliwie uratowawszy list od zniszczenia i osłaniając sobą dziecko, które z przerażenia zaczęło płakać.

Na szczęście okazało się, że w domu jest kanonik Piotr Wapowski. Usłyszawszy awanturę pojawił się w drzwiach załamując ręce.

— Na Boga — biadał — uspokójcie się! Jesteś, Andrzeju, takim miłym i spokojnym młodzieńcem, Mikołajowi nie mam też nic do zarzucenia, ale jak znajdziecie się obaj razem, to dochodzi do obrazy boskiej.

Gdy Mikołaj z dzieckiem wychodził z kanonii, przyłączył się Biernat, proponując wspólny spacer na Grodzką.

— Och, Mikołaju — mówił po drodze. — Wujek mój zupełnie nie ma pojęcia o tym, co wyrabia twój brat.

— Nasz wuj biskup już się na nim poznał — powiedział twar- do Mikołaj i zaraz pożałował tych słów, bo nie lubił źle mówić o bracie. Dodał więc zaraz: — Przepraszam cię — i z żalem spojrzął na Annę, która nie dość że była świadkiem awantury, musiała jeszcze teraz słyszeć takie słowa.

Rozstali się na Grodzkiej przed domem Szylinga. Mikołaj wziął znów Annę na ręce i niósł ją po mrocznych schodach. Przyszło mu na myśl, że tak dawno już nie malował, od śmierci Marty. Powinien przed wyjazdem zrobić jeszcze jeden portret małej, rośnie przecież i zmienia się szybko. Zmienia się, lecz twarzyczka coraz bardziej upodabnia się do twarzy jej matki.

Posadził dziewczynkę na wygodnym krześle, podłożywszy jej poduszkę pod plecy, rozstawił sztalugi i sięgnął po pędzle. Zapomniał po chwili o wszystkim, o całym świecie, koncentrując się na kształtach tej jednej jedynej twarzy, której obraz — wiedział o tym — pozostanie w nim z pewnością na całe życie.

Maciej wyrwał go ze stanu twórczego skupienia: — Mikołaju! Kto to widział malować po ciemku! I to w dodatku śpiący model!

Rzeczywiście, uczyniło się zupełnie ciemno, a Anna zdążyła zasnąć. Maciej sprowadził służebne, które zabrały dziecko i otrzymały polecenie podania wieszery.

Po zapaleniu świec Mikołaj natychmiast wręczył przyjacielowi list od wuja. Maciej przeczytał go z uwagą. Wkrótce potem powiedział:

— No tak. Łaskawy Pan Bóg poprawił teraz błąd losu polegający na tym, że urodziłeś się mieszczaninem. Od tej pory masz zapewniony byt aż do śmierci, tak samo, jakbyś urodził się w domu szlacheckim. Możesz już nic nie robić przez całe życie, a pieczone gołąbki polecą ci same do gąbki.

To była wyraźna ironia. Mikołaj szukał w twarzy Macieja niezyczliwości, lecz przecież jej nie znalazł. Rozumiał, że przyjaciel ironizuje ogólnie, nie mając osobiście do niego pretensji.

— Myślałem już o tym kiedyś, Macieju. Przywiodłeś teraz

do mej pamięci te wątpliwości, które wzbudziła we mnie już dawno wiadomość, że wuj chce nas uczynić kanonikami. Powiedziałem sobie wtedy, że postaram się zdziałać w swoim życiu coś, czym splcę niezasłużony chleb.

Maciej roześmiał się:

— No, mam nadzieję, że nie będziesz żył jak kanonik!

Mikołaj zarumienił się. Wiedział, że w obiegowym znaczeniu „żyć jak kanonik” znaczyło wieść życie leniwe i rozpustne. Uśmiechnął się także.

— Przyjdzie nam pożegnać się, Macieju. Będę odczuwał brak ciebie — powiedział Mikołaj zmieniając temat.

— Och, nie przeżyjesz tego tak jak ja. Zostanę tu zupełnie sam. Odeszła Marta, teraz odchodzisz ty, choć inaczej.

— Zostanie ci Anna.

— Cała pociecha w niej, mój drogi. Ale nadejdzie pora, gdy zjawi się jakiś mężczyzna i zabierze ją z domu.

Mikołaj poruszył się. Rzeczywiście! Tyle razy myślał o tym, że Anna, dorósłszy, będzie sobowtórem Marty. Lecz nigdy nie zrodziła się w nim myśl, że ta dorosła Anna zwiąże się z jakimś mężczyzną węzłem miłości...

— Zamyśliłeś się. Nad czym?

Te słowa wypowiedział Szyling. Przywróciły one Mikołaja do rzeczywistości.

Nie czekając na odpowiedź Maciej zaczął mówić matowym, jakby zmęczonym głosem:

— Widzisz, bo może ja mam nieco egoistyczne myśli, może w gruncie rzeczy wstawiam się za sobą samym i za moją córką, ale jeżeli zapytałem się, czy będziesz żył jak kanonik, to miałem nie tylko sprawę moralną na myśli. Myślałem przede wszystkim o tym, czy twoje miejsce nie jest w stolicy. Wiesz przecież, co to jest Frombork. Maleńka mięscina nad morzem, w której na dobitek szesnastu kanoników w odosobnieniu od świata otoczyło katedrę, dom biskupi i swe kurie wysokim murem obronnym.

Pomyśl: skazać się na życie z ludźmi zakiszonymi w duchownej twierdzy jak w beczce. Skazać się na zatechłe życie wokół codziennych głupstw, na plotki i intrygi zmanierowanych samotników. Toż to samobójstwo! Twoje miejsce powinno być tu, w stolicy. Jesteś inteligentny, zdolny, masz talent, naukową ciekawość świata. Alma Mater, która cię wykarmiła, potrzebuje takich ludzi. Powinieneś kształcić się dalej i wejść na drogę artystycznej, naukowej czy politycznej kariery.

— Ależ Macieju! Jak ty malujesz życie w kapitule? Zapominasz o służbie Bogu i Kościołowi. Samo to nadaje już głęboki sens przebywaniu we fromborskim zaciszu. Przyznam ci się, że zrozumiałem to dopiero w tej chwili, pod wpływem twych strasznych słów, które odniosły wręcz odwrotny skutek.

— Dobrze, dobrze. Gdybym cię nie znał, uśmiechnąłbym się. Ty, a półklasztorna służba boża!

— No, może rzeczywiście nadają się bardziej do czegoś innego. Ale przyznaj, że fromborska prebenda otwiera też te możliwości, o których mówisz. Wuj zawsze myślał, że jako kanonicy pojedziemy do Italii, by tam kształcić się dalej. Jest to podobno przez kapitułę dobrze widziane i popierane.

— Zgoda. Przyjmujesz więc prebendę jako etap w twojej karierze. Ale co potem? Wykształcisz się w Italii, by pójść marnować we Fromborku talent i wiedzę? Pomyśl o tym. Buntuję cię, mój drogi, na zapas, na przyszłość. Dla takich głów jak twoja bramy stolicy a nawet Wawelu zawsze stoją otworem. Pamiętaj o tym, gdy będziesz za kilka dni wyjeżdżał.

Zamilkli obaj. Służebna dziewczka niosła na tacy wieczorny posiłek. Gdy otworzyła drzwi, od przewiewu zachybotwały świece w lichtarzu, a cienie na ścianach się zachwiały.

— Straszne myśli we mnie wzbudziłeś — powiedział Mikołaj zgaszonym głosem. — Ale, tuszę, owocne.

— Dobrze, że tak to odczułeś. Tego rodzaju niepokój jest zawsze twórczy. Pamiętasz, jak mawiałeś w tamtych czasach, gdy

chodziłeś do Wojciecha z Brudzewa: „Ten człowiek sieje we mnie niepokój”. Mówiłeś to z lękiem, ale i z jakimś wewnętrznym zadowoleniem. Gdy oswoisz się z moją światoburczą sieją, to poczujesz także zadowolenie. Poczujesz, że moje myśli były jednak twórcze.